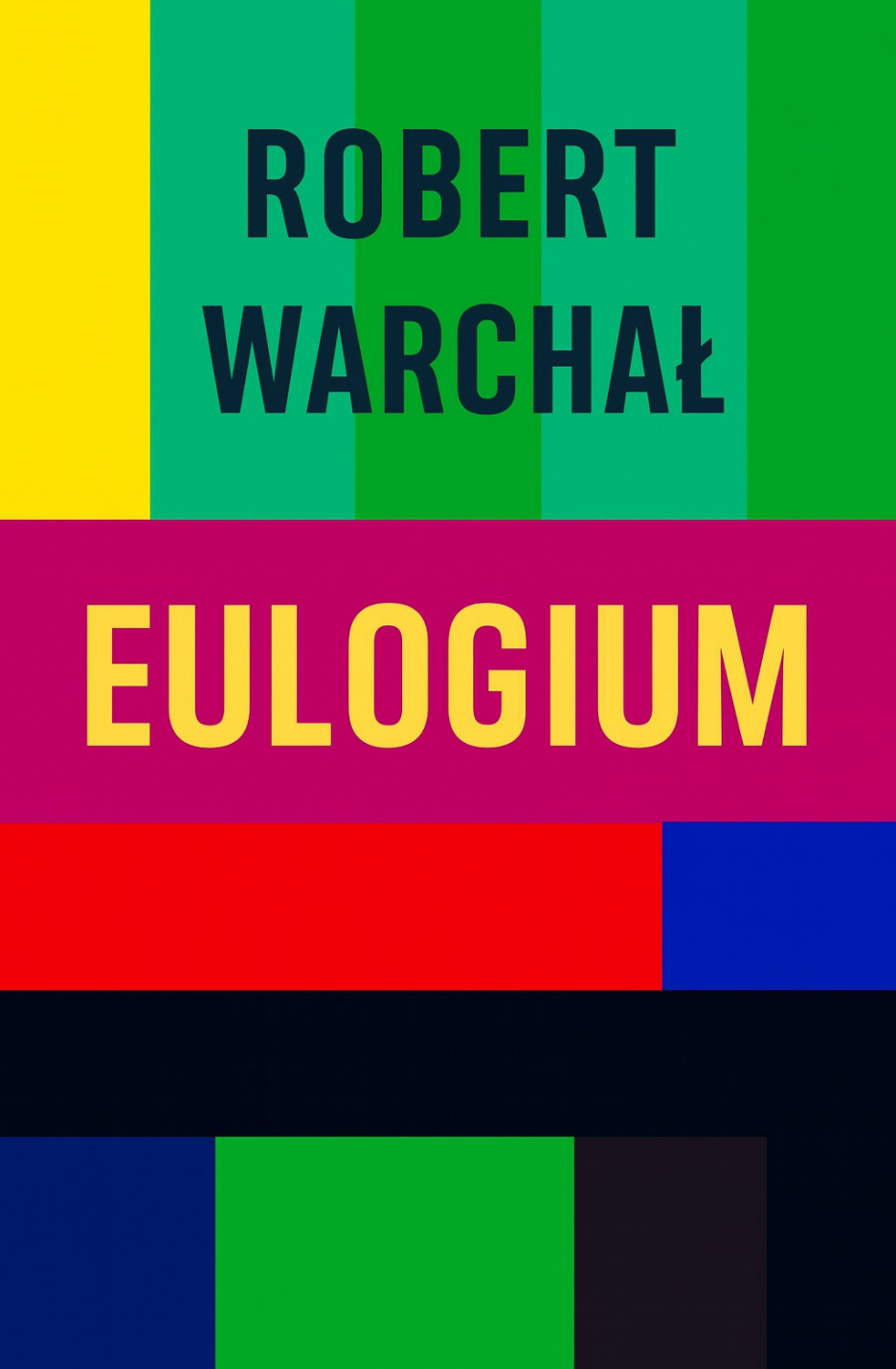




**ROBERT
WARCHAŁ**

EULOGIUM

Copyright © by Robert Warchał 2026
All rights reserved

ISBN 978-83-959990-2-4

Kraków 2026

Pierwsza stacja niewtajemniczenia...

Hej pocisze, myśl bezgłosu,
czemuż zerkasz zza mgły?

Postarzałe, choć niegdyś łyse.

Pst! Ach, to znicz się w przeźroczach tli.

W cień poranka złote strumienie
tkają sieci w miękkich podmuchach
bezgłosu czasy ciszy nieme
spoczywają w mglistych duchach
myśl o tęsknocie szuka swej drogi
szept błąka się słowem niepoznany
gdzie losu próg przewrotnie mnogi
melodią hen przez echo wezbrany

Wśród błogich snów
ukryty świat się mieści

poranek wstaje znów
i ślady czułych pieśni
Odeszły gdzieś w dal
szept minionego lata
poniosły ze sobą żal
z chwilą co się zaplata

Daj nam Boże na dobranoc
łask swych darów ukaż moc

Nucę sobie na dobranoc

w Twoją się oddaję moc

Biała łuna tuż za szczytem

ziemię ściska cicha noc

Gwiazdy błyszczą pod błękitem

tulą nas jak ciepły koc

Każda jedna coś przynosi

światło, bezgłos, spokój snów

Smuga nieba je roznosi

pocałunkiem słodkich słów

Przelej Panie na dobranoc

zdroju miłość wielką moc

Znakiem krzyża na dobranoc

wszystko dzierży Twoja moc

Potrząsk światów wieczność niesie
kres dnia popada w ospałe tonie
ku blaskom chwały modły wzniesie
i lampy oliwne pogasły po zgodnie
Nokturn dziwów zamierzchnienia
przetacza się nicość w chorał srebrzysty
po wszem pamięci nawiedzenia
błękit odziewa strop kamienisty

Tam, gdzie gwiazdy są na niebie
każda świeci dziś dla ciebie
Kiedy noc już wszystko skrywa
każdy sen w marzenia spływa
Przyszła pora głosu ciszy
każdy szept ją teraz słyszy
Tam, gdzie echo drży w przestrzeni
nic nie znika nic nie zmieni
Więc zamykasz oczy w ciszy
niech świat dłużej Cię nie słyszy
Dzień przemija już w milczeniu
dom się przyśni we wspomnieniu
Zanurz się w ten rytm oddechu
i odpocznij bez pośpiechu

Nad smrekiem bladym świtem
nadchodzą cienie skryte
w ich kroplach jak w zwierciadle widzę sny
W tych marach ktoś daleki
ten uśmiech i powieki
gdy czas nie będzie dzielił nas jak martwe mgły
A jeśli w cichym tchnieniu
spojrzeniu lub marzeniu
uwiedzie Cię wciąż jeszcze głębia snów
To niechaj miłość choćby w cieniu
rozświecili dzień w westchnieniu
być może wówczas przyjdiesz do mnie znów

Wśród liści szum daleki
połacie i górskie rzeki
a jednak to tylko niemy głos jest tu
Oddalam czas rozstania
noc pełna jest wahania
gdy oddech wciąż uderza w rytmach stu
Jak tchnienie wiatru wśród śpiących drzew
jak szmer co niesie odwieczny śpiew
tak długo czekam aż porwie mnie stąd — tam
W tej chwili serce drży
a wiatr wśród cieni brzmi
nie we mnie lecz już w nas

Być może sierpień łagodniej zakołysze
utkany dla Ciebie w ciszę
nadzieja rozświecili każdy zapomniany dzień
Tam sercu wciąż są bliższe
marzenia i słowa najcichsze
wśród niebotycznych w słońcu tchnień
Przedziwny cud się skończy
i naraz czerwień złączy
ulotnym szeptem jesiennych mgnień
Niechaj tętni ciepły brzask
dla tych co trwają mimo burz i łask
łagodni i niezakłęci
zazdrością niezawzięci

Ty, co władasz dniem i nocą,
światłem złotym wstajesz z zorzy.

Prowadź lud swój Twą pomocą,
w sercu pokój niech się złoży.

Słowo Ojca w Ciele żywe,
zstąpił Syn, by zbawić ziemię.

Wziął ucisku bóle tkliwe,
zładził grzechów ciężkie brzemie.

Przyjdź, o Jezu, Królu wieczny,
by objawić łask spełnienie.
W Tobie każdy dzień bezpieczny,
w Tobie życia odrodzenie.

Ukaż ludom blask Swej chwały,
niechaj wiara wciąż w nich płynie.

Łaska Ojca przedwiecznego,
Syna Twego święte imię.

O to przed tobą świetliste krainy, mistrzu, gdzie blask niezmacony spływa z najwyższych akwenów srebrzystych. Tam, gdzie myśli stają się jak diamenty czyste i wieczne, gdzie cienie zwątpień giną światłem prawdy obnażone, tam teraz kroczysz w chwale, wśród chóru mędrców i bogów w świetlistej przystani bytu, gdzie piękno objawia swe lico. Czyż nie o tym śniłeś, gdy ziemski trud Cię przygniatał? Czyż nie w tym upatrywałeś kresu swej długiej podróży? Oto i jesteś wśród tych, co mądrość pili z krynicy, co niebo w sercu nosili i gwiazdom swe myśli równali. Witajże! Mistrzu w orszaku wśród sfer niebieskich i czystych, wieczne swe myśli splatać w pieśń, co nigdy nie zamilknie. Nieśmiertelnego kręgu dotykasz promiennym gestem, gdzie logos splata działanie i czyn w jednolitą całość. W głąb eteru płyniesz, ku przestrzeni nieskończonej, gdzie horyzont drży w blasku, co nigdy nie gaśnie. Dni nie mijają,

bo czas jest tylko wizerunkiem wieczności, a każda chwila wypełnia się treścią wieczystą. Nad Tobą gwiazdy śpiewają wśród kręgów kosmicznych, ich światło tańczy na wodach ambrozji nieskalanej. Wszelkie myśli splatają się w wieniec harmonii, gdzie nie ma lęku, ni cienia, czy smutku przelotnego. W bezmiarze dróg nie szukasz już końca, bo każda ścieżka prowadzi do pełni nie jawnej, lecz ukrytej. Niechaj pieśń trwa, niech lutnia wiecznie rozbrzmiewa, bo oto jesteś wśród tych, co nigdy nie gasną.

I jeszcze jeden oddech w błonie
gdzie suma płasów krwią zatonie
gdzie motyw śpiewu się wyłania
przeplata wyśnione mary trwania
Przez kruchy niebyt biegną losy
gdzie w próżni lęków gną się kłosa
gdzie szept po cichu się wyłania
przeplata wyśnione mary trwania
Tchem nicości w pożodze istnienia
nie wyda zarodku znój brzemienia
jak znak co w dłoniach światła coś zatrzymał
Mgławicą świtania w zorzy łonie
gdy rosa łzami świeci na zagonie
Niech zefir co niesie liści łan
w me ręce wznosi ziemski stan
Niech każdy szmer i ptaków chór
przemówi dreszczem niemych gór

Perło zorzy równiny
na wzgórzach sinej ściany
co w noc głuchą morduje
szept modlitwy w dali
w chłodnym brzasku dni

Jeszcze two imię rozjaśnia mi noc
jak wiatr co z ciszy wyrywa się w moc
Jeszcze powrócisz nim zgaśnie ten cień
co śni się w oknie jak niespełniony dzień

Północna zorzo w ciszy zoranej
przezystą prawość bieli zasłanej
dziewiczych granitów powłoka
Freski w plusk szmeru leśnego skweru
Zdźbła światłocienia w dolinie eonów
tkną w prastare dźwięki tonów
ni echo z pustych lutni
Nie jak cień lecz dech

Ty, co przez pustynię w proch się obracasz
i własnym jestestwem gromy odwracasz.

Co z cnót ciężarów budujesz wieże,
by przez ich zburzenie wznieść nas ku wierze.

Kurhan już zielony w tundrach oceanu;
falo bez końca,

— ostrowie ciszy,

— bezdrożny mroku.

Wężu wśród ziół, tchnienie ukryte.

Gwiazdo daleka, przewodniczko łodzi,

trwogo wędrowca.

Tęsknoto nieuchwytna, jedności szukająca.

W głębinie zatonął ten, co modły niósł
i tylko pastuszek, gdy dąb cicho śni.

Już niebo stalowe, już ziemia jak szkło,
już lód się wspina cicho, a w szybie niewyraźne tło.
A słońce — zbyt blade — gubi się wśród mrużnych
mgławic, przerwane witryny jak szkatuły złud.
Już cisza nie błogosławi jak dawniej.

Wcieniu drzewa, pośród jego konarów i liści, człowiek odnajduje zarazem schronienie i możliwość obserwacji tj. może być niewidoczny, a jednak obecny, zakryty, lecz nie odcięty. Drzewo nie izoluje, lecz porządkuje relację ze światem, filtruje jasność, wyznacza rytm, osłania przed nadmiarem, ale nie zamyka w sobie. To upodmiotowienie jest częścią żywego procesu, jest podtrzymywane, a zarazem rozwija się ku niezależności, zdolne w odpowiednim czasie do oddzielenia się bez zerwania więzi. Chowanie się, pojmowane nie jako ucieczka, lecz jako świadomy gest afirmacji, ukazuje głębsze napięcie między widzialnością a obecnością, przynależnością a dowolnością. W tym sensie gest ukrycia staje się wyrazem pedagogiki zaufania — tak jak drzewo nie śledzi każdego liścia, lecz pozwala mu być w obrębie większego porządku życia. To odwrócenie perspektywy otwiera nowe możliwości spotkania poprzez para-

-realizm, który nie uziemia, lecz wspiera wolność i rozwój.

Ukrycie to więcej aniżeli sens,
między przynależnością a autonomią,
wzrostem a przekraczaniem samego siebie.
Nie obejmuje, lecz pozwala trwać.
Nie emancypuje, lecz wzrasta.
Antyfona luminescencją przesączona.
Parnas ascetycznej niewidzialności.

Ponad niepokoje życia
i burzliwe sztormy.

Poza zasięgiem kaprysów,
otoczony Bożym pokojem.

Istnieją trzy rodzaje samotności...

Pierwsza, gdy zmęczeni jesteśmy zgiełkiem dnia.

Druga, spotyka nas wbrew naszej woli.

Wreszcie ta trzecia,
będąca szczególnym darem od Boga.

Tam, gdzie jabłonie chyliły czoła,
pasą się w błoniach między pospołu
z marzeniem świętym juhasa.
Liść się pokłoni źdźbłu żytniej wiary.
Ptak w polne niebo wzleci bez siły
i rosa łzami obmyje ziemię —
serce się modli już bez imienia,
strumień śpiewa pod liściem łopianu.
I w każdym kłosie i w każdej roli,
drzemie tajemne tchnienie świętości.
Jakby sam anioł w złotym zagonie,
niósł kaganek czystej światłości.
Niech nie mówi ten, kto nie czuwał.
Ach, dźwięczy psalm z łąki, prząsny i dziki.

Nie jest ciałem,
które się dzieli
i nie wie o sobie w całości.
Nie jest barwą,
choć ją imituje —
rozsianej z wielu.
Ta sama, lecz odmienna.
Jest środkiem —
nie tym z geometrii,
lecz z ruchu rzeczy ku sensowi.
Od niej — promienie.
Do niej — powroty.
A ona wciąż w sobie.

Nie zostawisz mnie smutku, płucami bez
spoczynku.

Tyś brzemieniem dni moich, co wciąż radością
woła.

Głos twój — niby śpiew — znika zaraz próżno.

Nie krzyczy, nie zawodzi [...]

— lecz trwa.

Gdzieś sprzed myśli wisi ten gest nieznany,
nad dnem przypomnienia, wśród tkanek bez słowa.

Cyrkułuje treścią, choć nikt jej nie chowa.

Szkatułka z pyłu złożona z milczących słów.

Na jej dnie spoczywa noc z rozbitych snów.

A jeśli całokształt niebiańskiego porządku jest nie tyle sumą ruchów, co ich uprzednią zasadą, gdzie chwila jest wciąż przechwytywana. Wówczas to, co jawi się z perspektywy lokalnej, ten inteligibilny udział w totalności, nie będzie jedynie odzwierciedleniem, lecz otwartością podarku niepotrzebującego obrazu, aby trwać. W ten sposób daność nieustannie przekracza samą siebie. Splotem swoich trajektorii, wskazuje na konstytucję jednej wspólnej artykulacji bycia. Choć fragmentaryczne i operujące w horyzoncie niepełności. Jakby całość miała swój własny akt kontemplacji, a materia była jedynie trybem wyłaniania się sensu.

Czy to zwid, co znika mi w mroku?
Toczy ciemnym nurtem świat,
hipostazą bezkresu.

Jak krucyfiks z zgliszczy ku niebu się sili,
niechęcią płonie monumentalny.

Dziś już tylko cisza zalega w pejzażu
bożyszcze jak witraż roztrzaskane ruiną
Kruszec granitu pyłem na ołtarzu
gdzie niegdyś płonął ogień cnót
Jakby w uścisku antycznych olbrzymów
Wilga przepłynęła jak żałobne słowo
niosąc tchnienie bytu zagrobowo
O ileż w tobie sił iżbyś wstał
na lancy wzniósł hetmański szkwał
Swe wargi zwiąże i serce uciszy
raz w ludzką glinę wszedł i przyodział ciało

Spoza krat zżeranych rdzą i brązem
ślą ku gwiazdom jak dymy kadzielne
Zapewne zda się że te menory ołowiane
których mędrców i władców w popiół wnet odzieją
i tylko Niewidzialny w wieczności się ustrzeże —
lisich sideł wtrąci w korytarze cierniowych kolców
Żebra skał rozjarzone purpurą zachodu
oto mędrzec z Fedona światłości darczyńca
Objawienie z nasion wylęga
lice w lichtarzu tłą się otchłanią cienia

Wstań i krzycz strażnico Syjonu
albowiem tak mówi Pan

szum tamaryszku głosem nimfy
wyście runęły ciszą jak struny
płomiennie strzegąc chwili
Kruże pustynne w pyle zgaszone
bo z nagich ścian ziemi
żaden nie zajrzy w nie ogień

Cyprysów ciemna gwardia
i skrzep w cień mglisty,
czemuż mi dano kształt?
Pochyli zmarłym naczynie,
wonna treść dziewicza.
Raz na wieki,
znicz co został stłumiony.
O losie! —
nie smyczą jesteś, lecz ostrogą męża.
Im srożej kąsasz, tym twardszą kujesz stal,
spijasz z otchłani zatrutej diabelski płyn,
co gasi im źrenice.
Gra requiem sroższe niż sto gromów naraz.
Oto więc stoję — napięty jak łuk niebieski,
Trwam...

Dla osamotnionych zrodzonych z ziemi
Niechaj stopy uświęcą te progi upiorne
pustelnią w czarze swej goryczy
Ruczaj złociście falował troistością
Skwar macierzanki i chłód dzwońców
samotnie pulsował swymi sękami
wędrując po przegibach nieznanych
w purpurze poranków niedoścignionych

Wtenczas i ty, o synu północnych Karpatów,
rozszumisz się cedrową pieśnią o
odkupieniu.

Śmiech, co się w pustych korytarzach czaił,
warownie, gdzie dzwony huczały, jak w Sodomie.

Na te narody, co z krwi swej się chlubią,
co słyszą jedynie brzęk srebra i kruszców,
a nie rozpaczy i nie krzyku trumien.

Gdzie krzyż rozbity, a hostia splamiona.

O Polsko! — tyś jak ów gład w Delfickiej świątyni
z ustami pełnymi ognia i wyroków.

Słuchać jęk dzieci tulonych w łonie.

Tam purpura się w proch na oczach godzi.

Iw tych dolinach, gdzie łąny się ciągną,
lutnie wasze, ciche strażniczki śniegów.
Ten wie, że nie dziwem, lecz tylko tajemnicą,
nie kradzież to, bo twórca, choć cudze dotyka.
Patrz, jak się śmieje — a w śmiechu tym kość
zgrzyta.
Jak w srebrnej misie zardzewiałe koryta;
i leżał, jako plugastwo, co się z ziemi roi.
I szeptał: „O, nie w nowiu miesiąca zaczątki”.
Słowo ci poda, jak miecz wyszczerbiony
i gdybyś chciał go w ogniu wypróbować,
nie znajdziesz na kobiercu ani krwi, ni słowa.
Bo na mogiłach gęślarzy mech gęsto rośnie.
Jaka to teraz smuga małopolska, ponura.

Kur wnet zapieje na pierwszym dworze.
Jeszcze tam wiosną, gdy wstają zorze.

Już stary bartnik z ula miód bierze
i chleb codzienny łamie w wieczarze.

O, kraj rodzinny! Serca ochłoda.

Twoja to ziemia — moja swoboda.

Widziałem orszak w proroczej błyskawicy.
Trąbę przyłożyli do ust gorejących,

wśród pustyni rozpostarli namiot.

Już miecz zanurzam w otchłań twojej dumy

i ręka, która — jak błyskawicy trzask —

jeszcze na twoich marmurowych progach.

Runą w przepaście, jak gwiazdy bez toru.

I wtenczas, gdy się sąd rozlegnie,

a każdy czyn w szmaragd się odzieje,

Twój lud powstanie — nie z krwi, nie z broni,

lecz z cudu, który w sercach się zakwilił.

W nim jak perły zadrzą włościąństw ślady.

Krople cierpienia, żałoby i psotę.

Tam tron ognisty i kryształ z onyksu.

Wpył się rozsypią, nim wiek ich opiewa;
nie z wież zbudowane, ni z ogni Baala.

Tam, gdzie Ocean głosem nieprzerwanym
o skalne ściany uderza jak młotem
i w pianach śpiewa chóralnymi psalmami.

Z płaczem Sybiru, z ciszą katowni.

Nie w sztukę, nie w grę pustą i błahą,
lecz w epifanię, w objawienie ducha.

Jak pielgrzym, którego świątynia osłucha.

Cienie Hellenów z bardami północy
i gdzie Melpomena, w koronach z maku.

Echo tragiczne, głos Eurypidejski.

Oto więc spadła zasłona z ołtarza.

Gasną kaganki, milkną chóry wdzięku;

i ja, wędrowiec, któremu złudzenie,
zesłało maski, purpury i wieńce.

Jedni z Dalekiej, drudzy z Północnej gwiazdy,
gdzie nowy Baal — tolerancją — tronuje.

Tam, gdzie niegdyś w Tebach wznoszono kolosy,

dziś w paryskiej świątyni już bez ołtarza.

Nie psalm, nie trąba, lecz łuk iskrzący.

A każdy uczony w białej komży wiedzy,
każdy stawia ofiarą nie ku niebu, lecz sobie.

Lecz choć marzeniem było — jakżeż sen się
dźwiga, niby korzeń w ziemię wrasta.

Westchnieniem pierzchnie, choć pamięć go miga,
co jak płomyk nad czołem trzepoce,
—?

Czyjże trud, co na ziemi spoczywa bez głowy?
Czyja to krew, co jak rzeka w kamieniach się
zatraca?

I rzekłem w sercu: biada tym, co w słowie
szukają jedynie pieczęci i glejtu.

Czyliś ty tylko szeptem zapomnianym,
co w grotach wieków pobrzmiewa i ginie?

Drzemią jak perły, niechaj dłonie łakną.

Niechaj nie pytają, czy sztukę posiedli
ci, co w cedułach mają podpis sławy.

Chcę być jak oracz, co ziemię karczuje głęboko,
bo któż odmierzy miarą targowiska?

A więc słowo, choć utkane z oddechu
i jak pył gwiazdny, co po stopach spływa.

Jak łuk tęczy, co piorunem cięty,
stanął w szeregu i każdy jego oddech był hukiem,
co w mgłach przedświtu gwiazdę pierwszą zgarnia.

Wolność krzyczy — nie prosząc ofiarna.

Każdy krok w powietrzu tlił się błyskawicą.

W nich płonęła siła, której imię brzmiało:

„ZWYCIĘSTWO TYCH, CO NOSZĄ W PIERSI
OGIEŃ, GDZIE KURZ I POPIÓŁ UNOSZĄ SIĘ

W CHÓRACH”.

Niech tedy szemrzą krytyki gromady
i tłoczą się dalej w skorupach pergaminów.
Zapamiętał przecież, że oni są ciałem,
tchnieniem, które ulatuje i nie wraca.

O to płacze kamień na progu świątyni,
a kolumny, jak gnaty starców
i tylko robak, ślepy zwiastun podziemia,
ryje znaki jak pieczęcie niewidzialne.
O, wy narody, co w mosiężnych korytach,
karmicie swój głód okruchami zbrodni.
Niegodziwość waży się rękoma potomnych.
Tak, widziałem jak w prochu stawali giganci.
Kto chciał miary — ten zgubił sens.
Kto chciał sławy — ten znalazł próżnię
i zetrze się głos anioła w wichrze,
szemrzącą solą dawnego morza.
I rzekł: „Niech zapłonie rozpruwając zasłony
poranków i niech każdy oddech stanie się trąbą!”...
Bestia nie boi się lisa, lecz lis ją trwoży,
a drugi, niemy, dygocąc jak trzcina,
pod ciężarem swego kata drżał hukiem wodospadu.
Nie mógł się bronić, bo ręce związane.
Żelazem winy, co nigdy nie pęknie.

Zdymu i rdzy, a twarze — jak maski
pogrzebowe. Doprawdy On jest tym, co niesie
korzeń ognia!

O — gdybym mógł w te skały twoje imię wyryć
dłutem.

O — gdybym mógł język w szmaragd obrócić
i przed Twój ołtarz zanieść jako ofiarę.

Śle dym ku Tobie —

czyż nie ja także Twój obraz nosiłem?

Tyś tym uśmiechem, nie moje zwodzenie

i gdy kamieniem o serce Twe padnę,

Tyś gwiazd zdmuchniętych wieczysty ratunek.

Nie wiem skąd głos, że pod Synajem,

w dali rozlega się śpiew: „Święty, Święty w raju”.

Chwała Przymierzu, które się nie kruszy!

Nad Jordan spłynął, gdzie chrzest się objawił.

Tam woda srebrna, przez słońce złocona,

szumiała hymnami modlitwą natchniona.

Po tysiąc wulkanów piaskowych,
rozwarły jamy swe jak oczodoły trupie.
Pękła zasłona przy sklepieniu kryształu.
Czarne sztandary, krwawe już wiodą,
gdy pierwsza głownia,
nie dłoń ludzka jej kształt nadała.
Ciemiona przejrzyste jak szkło stawały otworem.
Nie zaciąży berło bezbożnych nad losem
sprawiedliwych i nie złamie trzciny nadłamanej.
Niech krużganki Efraima usłyszają Twoje wołanie
i staną się kładką poznania Chochmy i Binah.
Podnieś rękę nad Beerszebę i nad synami Judy,
w Szalemie wznosi się ich namiot,
od Keter po Malchut.

Czyż nie dane nam bracia, w porywach
bezładu, zetrzeć z ust smak jałowy
codziennych udręczeń.

Pić zieleni rozchłapaną z rozkorzenia stróża.

Tam, gdzie kędyś zdziczenie rozrosłością kwili.

On — beczłonny już, zrosły w przestwór zielony.

Na ganku rozwichrzonym zalega rozziewie,
gdzie kurzawa w zapędach roztrąca się w gniewie.

Był, na pewno był!

W cedrach łez zamacony, w studniach rozkruszony,
przewala się posturą ułomnych połowic.

Był, na pewno był!

Prześlizgnęła się bliskość rozprzestrzeń bez
czaru

Z rynsztoka tęczowego emanuje powidok

Topielica wodorostem splątana

po kusym turkocie rozśpiewa się chyże

Głuche uderzenia rdza rozlewa po kątach

Ujrzałem Oriona —

Lecz była to chata nędzy większej,
gdzie bezczynność
— jak pajęczak trumienny —
przędzie po kątach sieci,
kłębami oplata pustelnie.
Zdźbło więźby kole od łuczywa.
O limby! Te drzewa wysokie!
Ile węzów w biczu sumienia mego?
Tak nazwali mnie wędrowni Cyganie,
którzy z lotu ptaków wróżyli.
Tam, gdzie czary gwiazd wschodzących,
ożywiały ziemię jak cmentarz w noc zaduszną.
Urodzony nie tak, nie tam, nie wtedy,
śmieje się do słońca na cmentarzu.
A jednak — nie znam męczarni większej jeno tę,
że jest.
I ja sam, niosąc tabliczkę nieskończoności,
wypisuję na niej liczby bez początku, bez kresu.
Jakby były one formułą kamienia filozofów,

a w rzeczy samej — tylko rachunkiem swojej
nicości.

Zmonolitów ciosał wieże i posągi,
zazdrosny jak Demiurg z gnostyckich
apokryfów.

— Ani anachoreci pustyń,
ani prorocy z wyspy Patmos.

Labiryntem, w którym zaklął się Minos.

Nie w Elizjum ani na Walhalli.

Wzywam Cię, Twórco bólu.

W komnatach Światowid głową sięga sklepienia.

— Czyste muszą stać się jego oczy.

Na przeciwległej ścianie słońce zrzuca strzały ostre,
kwiatami lilii wodnych strąca pył.

Lecz głos we mnie odpowiedział:
„Nie bój się człowiecze, bo zaklęcia przeciw
tobie i węże ogniste nie zgaszą twej pieśni”...

Przybywam na ziemię w czasie wyznaczonym,
w epoce pożądaney dla wszystkich kultur.

Jeśli miłujecie tych, co was znają,
miłujecie także mnie.

Wasza oświata rodziła się z ziemi zachodniej,
z rogami baraniami — zapisano: „Lice lecz!”.

Na wężu świętym — zaklęcie:

„Zawsze drapieżniku przeciw boleści!”.

Oszust! kompilacja instynktów nikczemnych!

Robak w koronie rozumu!

A więc zapłonął ślad stygmatu
i kto spojrzał, ten wiedział.

Nie bój się, bo strach jest ostatnią zasłoną przed
wiedzą.

I powiedziane zostało:

„Każdy naród jest litanią własnej mimikry.

Każdy gest odgrywaniem roli w teatrze
wszechświata, a jedyną prawdą jest milczenie
ukryte w środku Imienia”.

Gniazdo sójki — jakby koroną z gałązek.

Grób rozkopany stał się Arką.

Był on księżycem, co nagle odbija słońce Mesjasza.

Nie bój się, bo strach jest ostatnim idolem.

Kto go obali, ten wejdzie w ogrody,
a każdy trup prorokiem czekającym na pieczęć
Zbawiciela.

Któż proponuje być impresariem profetyzmu?

Sprzedawać cud jak relikwię
i oprowiać tajemnicę w ramy handlu?

Nie wiadomo — komu złożyli śluby;
grobowi pustemu czy myśli, która przechodzi przez
nich jak wiatr?

I zawołał słowami Sokratesa:

Gnothi sauthon!

„Znaj swoje zwierzę, które w tobie śpi”.

Mina cudzoziemska, słowo jak kwiat obcy.

O embrionie, co zna siedemdziesiąt siedem
języków, logika europejska brzęczy mu w ustach
jak owad, ale ciało już wie:

„Rzucić się na cztery łapy i zwalić księgę”.

Bo róg tura jest szofarem,
którego dźwięk rozdziera zasłony narodów.

I rzekł mędrzec: „Róg jest także kluczem,
którym otwiera się Księga, zamknięta pieczęciami”.

Omałpie w świętym ogrodzie.
Odpowiedział rabbi: Bo kto nazywa się obrońcą Matki, a sam jest tylko klientem własnej próżności, ten podobny jest do człowieka, który stawia straż przy pustym grobie, a nie widzi, że Anioł już odwalił kamień.

Pogrążył się w zadumie i po chwili dodał: Wola mocy jest jak małpa w świętym ogrodzie — biega, zrywa owoce, ale nie zna ich smaku, bo jej pragnienie jest wcześniejsze niż język i wcześniejsze niż ząb. Taka wola rodzi złudzenie, że świat jest niczym innym, jak tylko sceną dla jednego bałwana.

Kto kopie w ziemi dla zamożności, ten szuka kamienia. Kto kopie w ziemi dla Prawdy, ten szuka światła uwięzionego w skale. Tak też i człowiek — jeśli nie ma światła z góry, jego tchnienie jest tylko

czarnym antracytem.

Powiedziano: Miłujący Ojciec stawia ołtarz na drodze. Ale zapytano rabiego: Czy to jest ołtarz z monolitu, czy ołtarz z krwi? I odpowiedział im: Ani z kamienia, ani z krwi, lecz z uczynków, które świecą w ciemności jak nefryty i gasną w oczach ślepych. Każdy znak niby kwiat, a jednak cień. Kto je odczyta po tej stronie?

— Nikt.

Kto je zrozumie po tamtej stronie?

— Ten, kto przeszedł przez Bramę Wyzwolenia.

Ironia nad samym sobą [...],
martwy ornament w gabinecie złudzeń.
Miażdży oczy, czaszkę, ostatnie westchnienie,
podsuwając Pentezyleę w postaci homunkulusa.
Ona tylko powie: „Panie, spieszę się”
i odpłynie na jachcie cywilizacji.
A skąd ten twór? Duch kopalniany? Skarbnik?
Jam więzień od wieczności lat,
przykuty do żaren lichszy od pajaków —
ślepy, karmiony księżycową jałmużną.
A jednak miałem swe królewskie szczęście
rozmawiać z gwiazdami, choćby raz,
choćby nigdy więcej.

Korona siedmiu gwiazd dotknęła czoła.
I stało się; melodia — gondola ze srebra,
płynąca z tajemniczej dali.

Ja — Ty — i Wiara.

Rozpęd miłości ponad chaosem.

Adonai! Adonai!

Bądźże błogosławiona Królewno.

Dzieciątko moje, wieczysta pochodnio!

Widzę w tobie ogród, który nie ginie.

Słyszę w tobie harfę, która nie milknie.

O, czytelniku —
który wśród ruin słów szukasz ognia
który domagasz się języka apokalipsy.
Ja Cię wysłucham.
Więc odtąd —
nie będę ci szeptał zwykłych uwag,
lecz uderzę w struny psalmów
i każde moje słowo stanie się błyskawicą,
a każde zdanie — krokiem ku otchłani.

Panie mój, czemuż dajesz mi wino gorzkie,
a kielich pełen żaru podajesz mojej dłoni?

Rozdarłem granaty, a sok ich...

i zdało mi się, że to serce moje...

Jęczę jak drzewo rąbane na wióry.
I oto — w szacie ciemnej, rubinami płonącej —
zjawiała się Ona.

Płakała.

Święte łzy płynęły po jej twarzy.

I zarzuciła mi ramiona na szyję,
a ja poczułem, że jest moja.

W Egipcie ucieka w celę i na słup,
w Helladzie staje się Akademią.

Tak powstaje Arka Tajemnic,
bunt przeciw tiarze, przeciw celibatowi.

Sen o nowym życiu nie ziści się.

Kamień stoczy się z gór.

Oczy zakryte.

Jęki i wycia, ryk płynącego pochodu.
Zanim krok uczynię ku wyzwoleniu z pragnień,
muszę wiedzieć, jaką Prawdą bezwzględną
mógłbym poruszyć mój świat.
Nie mówmy o pojęciach ogólnych.
Wiem, że są pomoce niewidzialne.
Wiem, że są przeczucia.
Nazywam to głosem Jaźni.
Zatrzęsły się tłumy,
gotowe kamieniem odpłacić.
Gotowe odebrać polskość,
nieść krzyk,
nieść szyderstwo,
nieść proch i głód.
A jednak —
czy nie było chwil na Synaju,
czy nie mówiło podobieństwo do Boga:
„Ten, który istnieje sam przez się,
który jest we wszystkim,
bo wszystko jest w Nim”.

I jeszcze:

„Niech będzie sam, bez towarzyszy.

A jak żniwiarz wieczorem czeka zapłaty Pana,
niech czeka, aż godzina nadejdzie”.

O to paradoks dziejów:
Ludzkość wzięła z życia Mistrza nie Jaźń,
lecz dogmat, nie światło, lecz kamień twardy,
na którym buduje się mury zamiast mostów.
A jednak — jeszcze w krzyżach dawnych
Zbawiciel miał oczy otwarte, bez bólu.
Krzyż był znakiem życia niezniszczalnego,
metamorfozy, co przechodzi przez śmierć
jak przez bramę do nowej formy.

Mówią mędrcy: „Nieskończoność nie jest daleka, ale zaszyta w oddechu”.

Wejdźcie do wnętrza,
gdzie oczy są waszymi naczyniami,
a ręce ofiarą przyjętą.

Widziałem imiona odbite w zwierciadłach narodów.

Niechaj nie zwodzi Cię szept wróżbitów.

Błogosławiony, kto sięga ku światłu ukrytemu w
źrenicy Najwyższego.

O, ludzie błędzą w dolinach burzy!

Nie zatrzymuj się przy latarniach minionych,
one tylko wskazują rafy.

Z przeszłości czerp moc, ale nie zakuj się w jej
brązy.

„Mądrość — powiada Księga — buduje swój dom,
a głupota burzy go własnymi rękami”.

Dlatego powiadam:

„Pij ze skały ukrytej, a odnajdziesz wodę.

Chleb prosty i miód pszczoł czarnych były naszą
ofiarą, a cisza sama była modlitwą”.

Człowiek Samo-Korzenia,
który nie opiera się na cudzej gwieździe,
lecz w siebie wbija łaskę pasterską.
Wtedy narodziłem siebie.
Odkryłem, iż we mnie samego wplątane były
leniwe zwątpienia, gdzie kłamią znaki, a zwodnicze
wróźby prowadzą ku przepaści.
Mówią: „Formuła otworzy skałę, litera wyzwoli
człowieka”.
Niech każdy wchodzi w swoją pustynię.
Niech rodzi siebie w cieniu drzew rubinowych,
bo tam zostało ukrytych dziesięć dróg.
Lecz któż nie wie, że martwe słowo
jest jak kość bez szpiku.
Biada wam, którzy zamiast Drzewa Życia
czcicie skorupę słowa!

Czyż nie jest tak i w życiu człowieka,
że nauka przychodzi po bólu?

Każdy kielich jest literą imienia,
którego nikt nie zna,

oprócz Tego, który przychodzi.

Lecz pełni nie ma bez krokusa.

Oto kielich chrzcielny,
fioletowa studnia śniegów,
która woła:

„Zmartwychwstań, ziemio uśpiona,
bo twoje polany są dywanem Mesjasza.

Twe przełęcz — drogą Jego stóp.”

Mchy polarne, włosy siwe jak wieczność,
a jednak płonące cicho na drzewach Karmelu.

Prometeusz Belzebuba żyje nadal nad kraterem,
okuty łańcuchem własnej pychy.

Regle płoną niczym ołtarze bizantyjskich Madonn.

Oto jezioro staje się narzeczoną śmierci —
rzuca na swe ciało kir aksamitny z katafalku.

Nie twórz ludzki, lecz znak samej Apokalipsy,

jakby ręka Demiurga w kamieniu wyryła ostatnie
ostrzeżenie dla ocalałych:

„Zbliża się godzina wyzwolenia,
gdy Jutrzenka otworzy bramę dziejów,
a umarłe państwo zmartwychwstanie!”.

Błogosławiona jest Twarz, która nie jest twarzą
z gliny, lecz zwierciadłem Oceanu ukrytego
w źrenicy. Kto spojrzał ten ujrzał w nich Atlantyde,
której nie zrodziła ziemia.

Różanecznik gorejący był jak krzew Mojżesza.

Każdy kwiat był literą ognistego alfabetu.

Niech będzie wywyższony, który dał człowiekowi
dwa skrzydła; jedno do wzlotu ku marzeniu, drugie
do pracy na łez padole.

Musi więc kłaść głazy pod fundament szczęścia,
które nie jemu służy.

Musi iść drogą poziomą, przez tłum, przez
społeczeństwo.

Powiedział syn Rasziego: „Nie jest wolny ten, kto
ucieka od obowiązku”.

I rzekł Jehuda: „Lepszy jest kamień wmurowany w
świątynię, niż klejnot, który toczy się w piasku”.

Kto pali kośćmi łosia, ten nie wie, że ogrzewa się
światłem trzech tysięcy.

Spójrz na dolinę południową — żyzna, niosąca

owce i kopalnie.

Inne doliny — chłodniejsze, uparte,
rodzą tylko łąki podmokłe i trawę kosodrzewu.

Są też wapienie — czarne jak noc i trwałe jak
wyrok.

W nich zakłęto liliowce, numulity i amonity.

Kto rozumie głazy, ten pojmie i siebie.

Błogosławiony, który ukrył pamięć świata w
turzycach i sprawił, że torfowiska stały się księgą
zapisów pradawnych.

Nie zdołał umknąć kronikarz,
bo sześć rąk go przytrzymało.

Trzydzieści palców zaciśniętych jak kleszcze.

„Nie jest rzeczą zbawienną — mówił —

gdy w czasach orgiastycznego zamętu,

zamiast Państwa budować się chce badaczy snu”.

Odpowiedział jeden z mężów: „Nie mieszaj polityki
do sztuki, bo kto wlewa smołę w kielich kadzidła,
ten gasi płomień”.

I rzekł Eleazar:

„Nie jesteś złodziejem, ani prorokiem,

ani strażnikiem cudzej ziemi. Jesteś pustym

naczyniem, któremu brak pieczęci. Jeśli chcesz —

bądź naczyniem dla mojego domu, a dam ci posag
jako pieczęć i jako sidło”.

Nagle dał się słyszeć jeszcze jeden głos:

„Wesel się na wyżynach, a gdy twoja radość stanie
się pełnią, rozlewaj ją jak źródło w ogrodach
Edenu”.

Mówili: „Słodki jest język, który chwali
Najwyższego...
Chwała Bogu, Adonai!”.

Imię Twe wyryłem sztyletem na kobalcie
i ległem przy nim omdlały.

Zsuwałem się — jak z murów gehenny.

Aż wreszcie, gdy dzień zamknął wrota,
ucałowałem ewangeliczne orędzie.

Nie było tam gałązek cedrowych, ani woni balsamu.

Kto dotknie nieczystego, a przeżyje,
ten pozna sekret wygnania.

Kto bezeceństwo czyni swym cielcem,
niech wie, że Prawo Pana odwróci się jak sierp
księżycy.

Bo biada temu, kto pluje w dar Wieczności —
jego dzban napęlni się popiołem,
a jego dziedzictwo strawione będzie przez trzodę.

Czyż nie tak mówi Księga Mądrości:

„Serce mądre zachowuje poznanie, lecz wargi
głupiego rozlewają głąd”?

Któż zdoła oskarżyć Najwyższego?

Nie mów: „Tragedia jest mała, bo woda sięga
tylko do pasa”.

Inny, brat mu bliźni, wchodzi w zbrodnię jak w
komnatę weselną.

Był asceta, który mówił:

„Świata nie ma”

i palił swoje pieśni przed nierządnicami.

Biada królowi, który sam siebie mianuje Parsifalem,
marzył o śmierci na krzyżu,

lecz nie miłość prowadziła go, a aktorstwo i
dziecinna próżność.

Albowiem kto szuka Grala w teatrach i dekoracjach,
ten znajdzie tylko kartonową rybę w sieci.

Woła do rady, aby uczyniła wodę błękitną
i radca barwi ją kobaltem,
jej dno zaczyna płonąć azurytem.

Wiadomo, że podwoje Gehenny uchyliły się.

Tam Wieszcza obchodziła swoje zaduszki.

Błogosławiony niech będzie ptak,

co nie z gniazda, lecz z otchłani jezior się wzbił.

Czyż nie on zwiastuje, że pustelnia prosta
mocniejsza jest niż turnia spiżowa?

A była rozmowa o gwiazdach i migrenie.
I padły słowa: „Zdobyłeś mnie”.

A kto zdobywa serce, ten staje się niewolnikiem
swoich pragnień!

Tak, ludzkość ujrzałem — glistowate stado,
ławica polipów, co żywi się tylko własnym gniciem.
Nie rządzi nią prawo Najwyższego,
lecz apetyt — noc lubieżna z kochankiem, rulon
złota, sława, co rozsiewa się gazetą jak pleśń po
murach.

A jednak z głębi Jaźni zawołałem:
„Niech będzie pracą jak u pieśniarza,
co wykuwa fosforescencję nowego Bytu”.

I wyszły myszy chore, by zaczerpnąć oddechu
i nawet one noszą w sobie zarazę,
wszczepioną w cichość stworzeń.

Umierało jedno z białych wierzeń,
jak gołębnica rozszarpana przez wrony.

Któż to Szatan? — pytałem.

Ten, który idzie wbrew Bogu,

na trójnogu upadłej liturgii.

Potem nauczał o naturze zwierząt:
że bocian ma skrzydła czarne i białe,
jedne dla oka sokoła, drugie dla oka człowieka.
Powiedziano:
„Niechaj i człowiek będzie jak bocian
z wierzchu czarny, od spodu biały,
aby zniknął przed okiem wroga i okiem tłumu”.
Natura jest księgą większą niż wszystkie szkoły,
a każda jej stronica jest przypowieścią.

Mówią: Los.
A ja powiadam: złośliwe wariactwo.

I rzekła pewna osobliwość:

„Jeśli wybierzesz mnie,
będziesz panem nowej mądrości,
ale jeśli mnie odrzucisz,
zapadnie między nami przepaść większa
niż ta, która oddzieliła węża od Archanioła”.

Śmiał się głos, który zwalił zakony świata.

Rzeki woli wezbrały i wyszły z cieśnin,
a żaden próg nie zatrzymał ich potopu.

Oto testament napisany na paprociach:

„Z utratą rozumu utracę wolność,
przeto oddaję się domowi obłąkanych”.

Nie wiercie tym, co przynoszą wam pergaminy z
pieczęcią obcych tronów.

Ich atrament jest czarniejszy niż smoła,
a litery piją krew z serc narodów,
które śnią, że są wolne.

Czyż nie powiedziano:

„Kto prześpi noc czujności, ten nie doczeka dnia wolności”.

Rozwarły się furtki klasztorne,
otwarły się krypty i zakamarki.

Oto widok potworny —

naród, co karmi się tolerancją,

stał się kolegium ciemnoty,

a to, co było przeznaczone dla jednego,

otworzyło drogę drugiemu.

Stary obraz, bohomaz ludzkiej niewiary,

migotał srebrem jak zakryta elipsa.

K sięga dni człowieczych, zapisanych w
kajdanach.

Dwory stoją w winie lunarnym.

Życie powróciło, lecz w domostwach
drżała zawsze groza.

Nie pojmował nikt —

tylko ten, co mieszka w cieniu Znicza.

On z towarzyszami swymi

przesiewał wiarę i bluźnierstwo

jak młyn, co miele pokolenia.

Czym żyją ludzie? —

O Panie, Ty, który budujesz z ruin,

Ty, który zamieniasz pył w gwiazdy —

daj nam słowo, które rozproszy burzę serc.

Nie pozwól, aby groby ich

pozostały zamknięte na obce kłódki.

Nie pozwól, aby księgi ich mądrości

zostały przehandlowane na ulicach pychy.

Cudnie tu — jakby raj zstąpił w dolinę,
jakby niebo przemówiło: już wiemy!

Ale, Panie! — Ty zapisujesz każdy jęk,

Ty znasz imiona tych,

których świat widział tylko jako numery.

Ty czynisz z nich światło na oświecenie pogan.

Powstańcie pieśni i wołajcie prosto z lochów,
bo tu jest cmentarz bez mogił, bez drzew,
bez furt. Najświętsza pamięć niech stanie się
słońcem poranka.

Tam, pod sklepieniem beczkowym, rozmyśla nad
Gehenną — niepowracalnością.

Ty jesteś Tym, co przetapia noc w poranek.

Ty jesteś Młotem, co rozbija twierdze.

Licząc imiona ukryte, nie zapiszesz tamtych w
Księdze, by ich echo niosło się po stepach i
zagonach.

W księdze nizin życia ukryty jest klucz,
który otwiera samotność Kaina i Ostatnią
Wieczerzę, a także jabłko Hewel, błyszczące jak
ogień ukryty w Edenie. Tu wynalazca, któremu
przyszło tworzyć prawa dla niebios.

Są tu myśliciele — ci, co rozwiązują Apokalipsę —
wpatrzeni w zwój. Odczytują znaki, porządkują
pieczęcie, liczą kody paruzji.

Ale i oni mają chwile, kiedy nie chcą już więcej
słuchać.

Przemówił Proklos:

„Jam niewolnik Boży, tyś rycerz”.

Nie pytam, bywa ciężko.

Mamy wolny kącik w taborowej izdebce.

Pociąg z Sibeliusem ucieka ku północnej stolicy,
gdzie Karelia nuci pieśni fińskie,
a koralowe wiosła biją rytm pielgrzymki.

Aeroplan porzucony w borze.

Tajna arka rewolucji,
ma terroryzować twierdze i turmy,

teorie Zachodu, jak i ultrafioletowe uczucia.
Jedno pewne: rewolucje i tak się dokonają,
miliarderzy i robotnicy —
wielka arytmetyka świata.

I stało się, że wilczki rozerwały sarnę w kniei,
a jednak nie na próżno, bo każdy włos i kropla
krwi wpisane są w zegar Stwórcy, który liczy nie
godziny, lecz wieki.

„On wyrwał nas z mocy ciemności
i przeniósł w królestwo swego Umiłowania”.

I prorok powie:
„Oto Antychryst — nie człowiek,
lecz zbiorowisko,
nie król, lecz sojusz,
nie tyran, lecz ślimaczy potwór.
Pełźnie po polach, aż pożre wiarę i sztandary”.
Co w mogilnych dołach ma hiena?
Idą.
Czy żywi, czy umarli?
Pokolenia całe — od stepów krymskich po puszcze
bałtyckie.
W hymnie milczenia.
I oto stoi ten, co wiąże sklepienia,
jak zwornik gotyckiego kościoła spina łuki.
Biada temu, kto wchodzi w pałace ze szkła,
a zapomina, że fundamenty kruszeją od krwi
robotnika.
Lepiej pasterz w kozuchu, co kłosa przynosi,
niż namiestnik w złocie, co miłość przelicza na
srebrniki.

O Panie, widziałem rzezańców w kąpieli
i tęczowe obłoki mydła,

które zakrywały ich bezwstydy.

Widziałem sztukę sprzedaną za fuszerkę.

Marność marności —

biada uśmiechniętej Polsce,

co strzyże uszami jak królik biały,

a szczepi scholastykę bezpłodną

na wątłych drzewinach wolności.

Biada, gdy wino miesza się z afrodyzjakiem,

a spiski z paciorkami różańca.

Biada, bo i proroka niegdyś urządzono

szyderstwem, aż został tylko idol z brązu,

śmiejący się z własnej rany wątrobianej.

Ten, którego oczy jarzą się jak u tarantuli,

którego słowa są ostrzejsze niż sztylety,

a uśmiech jego skrywa zatrute jadlo.

Biada!

Bo oto gazety świata niosą mu rozgrzeszenie.

I oto tłum zdumiony słucha —

jakby pasterz cudzoziemski miał moc stwarzania
baranów według własnej woli.

To rachunek nieskocznościowy kusiciela,
który wie wszystko o własnym egoizmie,
a nic o przebaczeniu.

Tam uczta należy do Zła,
na ołtarzu samowoli człowieka nad człowiekiem.

Przestrzegam was, o wy, którzy kochacie
zwierciadła.

Nie oglądajcie się w oczach kobry,
nie całujcie sandału obcego bożka.

Nie szukajcie wiedzy, by za jej pomocą panować,
ale by służyć.

Niechaj każdy krok wasz będzie modlitwą,
bo dzień Sądu przychodzi jak złodziej w nocy
i tylko ci, którzy trwali w pokorze,
przejdą przez labirynt ku Bramie Światła.

O Panie, wybaw mnie z ciemnych korytarzy,
z więzień materializmu i tłumów oszalałych,
ze zdrady, która pociąga ku przepaści.

Panie, oto schronili się wybrani,
nie ulegli zniszczeniu, nie zgięli kolan przed
Wężem.

Ty pozwalasz im budować prawdy,
aż przeminie era potwora.

I pytają: „Cóż jest większe niż życie?”
— nie wiedząc, że życie oddzielone od Miłości
jest tylko lodem i rozpaczą.

Iw bólach Jeremiaszowych woła wnętrność do
wnętrności: „Serce moje trwoży się we mnie,
tak iż zamilczeć nie mogę”.

Niechaj ci, którzy bluźnią, mówią:

„Nie ma wieczności, nie ma ponad człowieka
drogi”.

O, mdły powiew — poczułem go.

Obudź się, siło moja!

Obudź się, liro i cytro,

a ja obudzę jutrzenkę.

Hej pocisze, myśl bezgłosu,
czemuż zerkasz zza mgły?

Postarzałe, choć niegdyś łyse.

Pst! Ach, to znicz się w przeźroczach tli.